

Barbara Stępnia-Wilk, Od siebie do siebie

Po balu u krewnych za miastem
z ich śmieci wracamy na własne
za rękę ty mnie, a ja ciebie
do domu czy nieba - już nie wiem.
Udały się ciasta i dzieci
tym krewnym i śnieg z nieba leci
tak kocham, że trudno aż zmarznąć
w twoich dłoniach mi danych na własność.
Ubrani, nie powiem, dostatnio,
usposobieni dodatnio,
o czwartej nad ranem, gdzie tramwaj przystaje,
stoimy wtuleni we własne czekanie
Zatrzymać wspomnienie szarlotki
tych krewnych i noc, i obłoczki,
i z nieba sypiący puch srebrny,
ulotny, jak los nasz niepewny.
Ja tobie, a tyś mi się udał.
Zatrzymać tę noc hojną w cuda,
przytulnie milczącą ulicę,
to życie zatrzymać, ach, życie
Ubrani, nie powiem, dostatnio,
usposobieni dodatnio
szepczemy dość szczerze naiwne pacierze
niech czas się zatrzyma, niech nic nie przyjedzie
Do domu czy nieba - już nie wiem,
lecz tylko od siebie do siebie
tak wracać o czwartej nad ranem
i niech nie istnieją tramwaje.
Udadzą się ciasta i dzieci
nam kiedyś lecz dziś z nieba leci
za szybko ten śnieg. Niech poczeka.
Za wcześnie na chłód na powiekach.
Ubrani, nie powiem, dostatnio,
usposobieni dodatnio
iść zamiast - chcąc nie chcąc - my w noc tę bajeczną
stoimy, by później dopadła nas wieczność.